

Lech Kaczyński, albo będzie starał się być prezydentem wszystkich Polaków, nie zapominając o swoich korzeniach politycznych, albo będzie złym prezydentem

Prezydent Prawa i Sprawiedliwości

Minęły trzy miesiące urzędowania prezydenta Lecha Kaczyńskiego i czas na pierwsze oceny. Nie głosowałem na niego. Nie podzielałem wielu jego poglądów. Uważałem, że nie będzie dobrym prezydentem. Wiedziałem, że tkwi w cieniu brata, o wiele większej, ale i bardzo niepokojącej indywidualności politycznej, i że w tym uzależnieniu pozostanie. Byłem pewien, że jeśli zwycięży, będziemy mieli prezydenta dwugłowego, z główną głową poza Pałacem Prezydenckim. Wiedziałem też, że w stopniu o wiele większym niż trzech jego poprzedników stanie się prezydentem jednej partii, że to będzie najważniejsza i bardzo negatywna cecha jego prezydentury. Wszystkie inne, niezależnie jak bardzo ważne by były, staną się wobec tej podrzędne.

Trzy miesiące pełnienia urzędu głowy państwa przez Lecha Kaczyńskiego utwierdziły mnie w tych przypuszczeniach. Nie podjął w tym czasie żadnego działania wskazującego na polityczną niezależność w stosunku do kierownictwa partii, do której formalnie nie należy.

Stronniczy Pierwszy Obywatel

Od początku urzędowania obecnego prezydenta w parlamencie i na całej scenie politycznej panuje zamęt, jedna awantura po drugiej albo kilka naraz. Wśród sprawców, a właściwie prowodyrów, jest Prawo i Sprawiedliwość oraz jego lider. Prezydent przygląda się temu w milczeniu, w istocie akceptując poczynania PiS. Jeśli zabiera głos, to strofuje tych, którzy jego niby była, a faktycznie ciągle aktualną partię krytykują.

Postępowanie takie jest wypaczeniem mandatu, który otrzymał od wyborców, a także opacznym wykonywaniem roli, która przynależy prezydentowi wśród władz naszego demokratycznego państwa. Lecha Kaczyńskiego wybrała rzesza obywateli znacznie wykraczająca poza

krań zwolenników PiS i jego programu. Obowiązkiem prezydenta, testem lojalności wobec tej rzeszy, jest taki styl sprawowania urzędu, by mieli oni przekonanie, że będąc wyborcami innej partii, posadzili na fotelu Pierwszego Obywatela osobę zdolną przekroczyć własne partyjne opłotki w ramach pełnionej funkcji.

Jednak osoba prezydenta to także uosobienie całego państwa, całej społeczności politycznej, wszystkich obywateli, także tych, którzy na niego nie głosowali. Padnie pewnie kontrargument, że przecież we Francji czy w Stanach Zjednoczonych prezydent też jest wybierany przez wyborców różnej orientacji, a mimo to pozostaje silnie zakorzeniony partyjnie. To jest argument o małej wartości, ponieważ w tamtych krajach istnieje system prezydencki, w którym głowa państwa jest jednocześnie szefem egzekutywy, władzy wykonawczej. Siłą rzeczy więc muszą zostać utrzymane jego uwikłania partyjne, ponieważ władza wykonawcza ma charakter partyjny. Ale nawet tam prezydent stara się nie być drastycznie stronniczy, partyjny, choćby po to, żeby utrzymać swój elektorat.

Obok konstytucji

Polska konstytucja nie czyni prezydenta głową rządu, lecz "najwyższym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej i gwarantem ciągłości władzy państwowej". Rzeczypospolitej Polskiej nie można utożsamiać z tą czy inną partią czy nawet z wszystkimi partiami. Rzeczpospolita to wspólnota wszystkich obywateli państwa, ich "dobro wspólne", jak głosi pierwszy artykuł konstytucji.

Nasza konstytucja nakazuje prezydentowi być przedstawicielem tej wspólnoty i żadnej innej, tego wspólnego dobra i żadnego innego. Aby ta rola pozostała w pełni niezakłócona, prezydent jest zobowiązany do rezygnacji z wszelkich innych funkcji publicznych. Gdyby intencją twórców konstytucji nie było odpartyjnienie tej władzy, toby takiego wymogu w niej nie umieścili.

Obowiązek reprezentowania Rzeczypospolitej, czyli, powtarzam za konstytucją, "dobra wspólnego wszystkich obywateli", wzmacnia sformułowanie, że prezydent "gwarantuje ciągłość władzy państwowej". Takie więc określenia, że obecny szef państwa jest prezydentem IV Rzeczypospolitej są świadectwem braku rozumienia

bądź nieuznawania postanowień konstytucji, gdyż sugerują, że ten prezydent reprezentuje nie ciągłość, lecz zerwanie ciągłości władzy państwowej.

W samej definicji roli głowy państwa, wedle naszej ustawy zasadniczej - ona zaś, a nie inne kraje, powinna być punktem odniesienia - zawarty jest nakaz takiego jej wykonywania, aby wszyscy obywatele mogli powiedzieć: tak, on wyraża państwo, które jest moim państwem, aby mógł tak powiedzieć i wyborca SLD, i LPR. To ideał, ale trzeba ku niemu iść. Prezydent albo będzie starał się być prezydentem wszystkich Polaków, nie zapominając o swoich korzeniach politycznych, albo będzie złym prezydentem. Lech Kaczyński każdą swoją publiczną interwencją daje jeden sygnał: jestem prezydentem tylko Prawa i Sprawiedliwości.

Lokatorzy, a nie obywatele

Nigdy nie głosowałem na Aleksandra Kwaśniewskiego, ale swym publicznym zachowaniem, sposobem sprawowania urzędu (i proszę mi nie opowiadać o "awarii kolana" czy jakichś innych ludzkich wpadkach) szybko sprawił, że widziałem w nim głowę państwa, mojego państwa. Mimo że wywodził się z partii, która kiedyś uważała mnie za wroga, zadrezczała mnie i którą ja też uważałem za wroga, i tak by było nadal, gdyby na szczęście nie zniknęła. I mimo że byłem w bardzo zdecydowanej opozycji do rządu Leszka Millera i SLD.

Nie miałem wątpliwości, jakie są sympatie polityczne prezydenta i wcale mi one nie przeszkadzały, bo widziałem jego starania, żeby tacy wyborcy jak ja, nie jego wyborcy, słyszeli w jego słowach i widzieli w jego czynach, że Rzeczpospolita jest także ich domem na równych z innymi prawach. Prezydent Kwaśniewski, kiedyś działacz PZPR, był moim prezydentem w niepodległej, demokratycznej Polsce.

Nie mogę tego powiedzieć o Lechu Kaczyńskim, choćbym chciał, i nie mówię tego dla zachowania pozorów. Tytularnie jest prezydentem Polski, a więc i moim, ale faktycznie nie jest nim i na razie nic nie wskazuje, aby miał na to ochotę. Mimo że, tak jak i ja, wywodzi się z demokratycznej, antykomunistycznej opozycji. Niestety, ilekroć go słyszę, nie słyszę głosu prezydenta, słyszę wyłącznie głos PiS. Nie jest przy tym ważne, że uważam tę partię za dopust dla kraju, ważne, że w

głosie prezydenta nie powinniśmy słyszeć głosu partii, lecz głos Rzeczypospolitej. Jestem pewien, że w tej sprawie mam liczne towarzystwo podobnie czujących. Ono będzie rosło, jeśli prezydent nie zechce być naprawdę reprezentantem Rzeczypospolitej bez cyferki.

Nikt nie ma prawa żądać od Lecha Kaczyńskiego, aby obejmując urząd, wyrzekł się politycznego rodowodu, ale mamy prawo jako obywatele oczekiwać, domagać się, by reprezentował i wyrażał Polskę jako wspólny dom wszystkich nas, a nie jako posiadłość swej partii, w której wszyscy inni mają co najwyżej prawa lokatora.

Gazeta Wyborcza 29.03.2006 r.